Lwów, 22. Lutego. № 23. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Zlr. półr. **3** Zlr. kwartal. **1** Zlr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Zlr.— półrocznie **4** Zlr.—kwartalnie **2** Zlr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Zlr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział, ce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

XIX.

Nie oceniając niewątpliwie dobrego skutku, jaki tym torem puszczone myśli musiały-by były dla myślącego sprowadzić, nikt nie zaprzeczy, że już to było wielkiem szczęściem dla niego, że się czemkolwiek z prawdziwem zajęciem zatrudnić potrafił. Jakoż rzeczą pewną, że chory moralnie Kamil w owej chwili bardzo już bliskim był wyzdrowienia. Nie był-by on nigdy wyzdrowiał zupełnie; nie był-by nigdy usprawiedliwił swych błędów, tak jak nie mogła mu się nigdy jego młodość powrócić: ale był-by się potrafił wznieść nad tę młodość, przekreślić ją, tak jak pomylony rachunek, i był-by uzyskał odwagę i ochotę ten rachunek zacząć na nowo.

Było-by to wszystko się stało, gdyby.... gdyby nie ten straszny wyrok wiszący nad nami, który mówi: że prędzej się da zdrowy członek odciąć od ciała, niżeli jedna mała cząstka życia od jego całości. Przeszłość! wielkie to słowo, w jakiemkolwiek jest wzięte znaczeniu! Przeszłość człowieka jest-to owa straszna, nieubłagana Nemezis, która najdrobniejszej nie przebaczy urazy; przeszłość, to najsławniejszy rachmistrz, który najmniejszej frakcyi nie przejrzy; przeszłość, to najgłośniejsze echo na ziemi, które, gdyby nie mogło za życia, potrafi się jeszcze odezwać nad grobem! — A Kamil miał wielkie długi, u tej nieubłaganej przeszłości pozaciągane, niewypłacone a na nieszczęście, i zapomniane.

Ale powróćmy do wypadków.

Otóż kiedy tak Kamil zajął się temi nowemi myślami, które go miały sprowadzić na drogę poprawy, i przy tych myślach odżył cokolwiek i z niemi nosił się po swoich oddalonych od miasta przechadzkach, — zdarzyło się raz, że idąc z spuszczoną głową przez jedną aleję na Wysokim zamku, zdybał się oko w oko ze starym Sieniawskim. Obaczywszy go Kamil, stanął jak wryty na miejscu i wpatrzył się weń, tak osłupiałemi oczyma, że stary archiwista, widząc to, przeląkł się i zdjąwszy kapelusz z głowy, ukłonił mu się bardzo pieknie i uniżenie, pytając przytem z dziwnie głupim uśmiechem:

— Kogóż mam honor?....

Kamil nie dla tego tak bardzo się zdziwił, że-by miał poznać swego dawnego znajomego, ale dla tego, iż był pewnym, że swego rodzonego ojca zdybuje, tak ci obadwaj starzy byli do siebie podobni, — ale gdy mu się ten staruszek tak pięknie ukłonił, poznał w nim zaraz starego archiwistę i roześmiał się w głos na całą gębę. Śmiech taki obraził sławnych Sieniawskich potomka do tego stopnia, że zacisnąwszy kapelusz na głowę i laske ścisnąwszy w prawicy, wcale surowym głosem swe pytanie ponowił.

— Kto pan jesteś, — zawołał on, — który wisz śmitać... śmitasz wić śmisz się, wiać śmiejesz, witając się ze mną?

— Ale nie gniewaj-że się pan, panie Sieniawski, — zawołał na to Kamil ze śmiechem, — czyż pan mnie nie poznajesz?

— Nie poznaję, — ofuknął się na to jeszcze pan Dominik, — bo nie mam honoru...

— Przecież to ja dawny znajomy, — rzekł Kamil,— dwie było familije tak wielkie i sławne: Sieniawscy i?....

— Ja... ja... jakto! — zawołał na to Sieniawski, mięknąc jak wosk i znowu zdejmując kapelusz, — to może pan Łaski?

— A już-ci Łaski!.. cóż? postarzał się, pomarszczył, wyłysiał?...

— Postarzał, pomarszczył, — powtarzał za nim archiwista, trzymając go za rękę, — ale czy wyłysiał, to ja tego nie mogę obaczyć....

— Przez kapelusz! cha, cha, cha! — zaśmiał się Kamil, — wyborny pan jesteś, panie Dominiku! niedarmo-to ongi mawiał nasz sąsiad z pałacu: że coś podobnego jak Wojewoda, nie masz na niebie ani na ziemi.

— No! ale żart na stronę, — rzekł na to Sieniawski, powiedz mi aspan, panie Kamilu, skąd się tutaj tak nagle wziąłeś?

— Nagle? — zapytał Kamil, uśmiechając się ciągle,— a jakto nagle? przecież ja tu jestem w kraju już od kilku miesięcy!

Sieniawski spojrzał na to w twarz mówiącemu, potem oczy spuścił ku ziemi i mruknął pod nosem:

— Przynajmniej przedemną niepowinien'eś aspan był o tem wspominać.

— Prawda, prawda, — odpowiedział Kamil serio, — przepraszam pana... ale to tak jakoś, ot! sam niewiem jak się zrobiło, żem nie był dotychczas u pana. Ot! kłopoty, zmartwienia, zgryzoty...

— A i u mnie tak samo, — rzekł smutno Sieniawski, żona mi ociemniała....

— Ociemniała! — zawołał Kamil, — doprawdy?

— Córka za mąż nie poszła...

— Nie poszła... mruknął Kamil pod nosem, spuszczając oczy ku ziemi.

— A nie poszła! a tak to ludzie chwalili, winszowali, zazdrościli... ot! prawdę mówiąc, wolał-bym był syna.

— Ej! i synom dziś nie lepiej na świecie.

— Tak... ale... widzisz aspan.... zawsze-by to jakoś było lżej człowiekowi na sercu...

I tak rozmawiając ze sobą o tem i owem, noga za nogą szli na dół prosto ku Sieniawszczyźnie; aż nagle, sami niewiedząc jak i kiedy, znaleźli się przed starym domkiem Sieniawskich.

Szedł tedy pan Dominik naprzód, prowadząc za sobą Kamila a wszedłszy do izby, podniósł laskę do góry i zawołał tryumfującym głosem:

— Ani się spodziewacie, *mulieres ignarae*, jakiego wam gościa prowadzę.

— Kto to jest Haniu? — spytała pani Sieniawska; ale Hania powstała z miejsca, zaczerwieniła się, zbladła i oddech straciwszy, milcząc na powrót na krzesło upadła. Szczęście było to wielkie, że w owej chwili już zmrok powoli zapadał i Kamil zapatrzył się był na nieszczęśliwą matkę, której ciemnota wzbudziła w nim politowanie, przez co córka zyskała dosyć czasu, aby się z pierwszego wrażenia otrzeźwić i dosyć zimno Kamila powitać.

Z początku rozmowa szła bardzo niesporo, bo mówiono o nieszczęściu pani Sieniawskiej, o smutnych krajowych wypadkach, o biedzie powszechnej, o nędzy i głodzie, szczęściem, że pomoru nie było, bo-by i o tem zapewne mówiono: jak to zwyczajem jest u ludzi ubogich, wiecznie stękać i jęczeć na nędze i głody a nic przeciw temu nie działać i jeszcze przy tem od czasu do czasu ponarzekać na bogatych, że po swoich salonach gwarzą zawsze wesoło a zamilczać o tem, że choć gwarzą wesoło, przecież wiedzą o tej nędzy miejskiej i co roku sowitemi darami ją okupują. Ale po nędzy i głodzie przeszła rozmowa na inne przedmioty i stała się przez to tak ożywioną i zajmującą, że Kamil dopiero o samej północy wyszedł z domku Sieniawskich.

Kiedy Kamil powrócił do siebie, dziwnie mu jakoś było na umyśle i sercu. Nie wiedzieć dla czego, Hania stała mu ciągle przed oczyma. Nie mógł on się dosyć temu nadziwić, co się to z tej dziewczyny zrobiło. Jej spokojność umysłu, jej szlachetna powaga, jej prosty, zdrowy a przecież tak trafny i dziwnie dla niego oryginalny rozum, jej wiadomości niezaprzecznie znakomite, wszystko to razem zaimponowało mu niepospolicie i tak go jakoś żywo zajęło, że przez całą noc oka nie zmrużył i nad ranem dopiero trochę snu się doczekał. Obudziwszy się, znowu znalazł Hanię w swych myślach i począł sobie po szczegółach rozbierać, co-by też mogło być w tej kobiecie co ją tak bardzo czyni niepodobną do tych wszystkich jakie znał dotąd?...: a znał ich przecież nie mało, od pani Sand począwszy, a skończywszy na kontesach i księżnach, które wielką sławę z rozumu, dowcipu, piękności, tonu, zgoła ze wszystkich najpiękniejszych przymiotów miały w Paryżu! W Paryżu! a cóż też za porównanie może być między Paryżem a Sieniawszczyzną, między salonami francuskiej stolicy a ubogą izdebką starego domku, między damami wielkiego świata a skromną dziewczyną polską! A przecież on wszystkie tamte damy widział i poznał, i często widywał i często z niemi rozmawiał, wielbił ich piękność i elegancyą, przyznawał im dowcip, niezaprzeczał rozumu, ale żadna z nich ani mu się przyśniła: cóż tedy takiego mogło być w Hani?.

Namęczywszy się nad tą zagadką przez cały dzień, wieczorem znowu poszedł do starych Sieniawskich. I odtąd począł tam bywać prawie codziennie.

Nie trzeba tego powiadać, że przy nim Hania dziwnie się odmieniła na korzyść. Miłość, to drugie życie dla kobiet, a zwłaszcza miłość dawna, nową zażywiona nadzieją, miłość taka jest w stanie do niepoznania odmienić kobietę to też i Hania, nie tylko że odmłodniała prawie o wszystkie te lata, które jej bez Kamila minęły, że jakieś świeże jak kwiaty wiosenne wystąpiły na jej lica rumieńce, że oczy nabrały nowego życia i blasku, ale do jej dawnego spokoju przybyła szczególnie ujmująca wesołość, jej rozum zaostrzył się dowcipem, jej wymowa podniosła się tak, że słuchając jej Kamil wpadał w jakąś dziwnie błogą i rozkoszną zadumę, w której miękł jak wosk na słońcu, rozrozczulał się jak dziecko, śnił wiosnę, i wieńce i kwiaty i zdawało mu się, jak gdyby się przed nim otwierały bramy jakiegoś raju, tak cudownego, o którem przedtem nie miał ani pojęcia. A kiedy się budził z takiej zadumy, głupiał formalnie w rozmyślaniu nad całą tą sprawą i widział siebie gdzieś nisko przy samej ziemi a nad sobą jakiegoś Sfinxa-kobietę, patrzącą na niego litościwemi oczyma, i przykuwającą go tym wzrokiem do siebie.

Cóż-to było? czy miłość? nie, bo Kamil Hani nie kochał, Kamil kochał Adelę. Cóż to więc było? to była natura, odnosząca zwycięztwo nad sztuką, to było życie dające oddech martwocie, to było czyste religijne uczucie, zwyciężające nad pogaństwem rozumu, uśmiech niebieski rozpraszający mgły ziemskie.

Nie wiedząc o tem, dla jakich powodów, Kamil pomi-

mo to ciągle i coraz więcej się przywiązywał do Hani. Przypomniał sobie, że ona przed laty dziesięciu w nim się kochała. Wspomnienie to przyjął z wielkiem upodobaniem, myślał o owych czasach, wyrzuty sobie nawet czynił, że się naówczas nie umiał poznać na wartości tego uczucia: porównywał Hanię z Adelą i westchnął po kilka kroć nad swojem nieszczęściem, marzył o tem, co-by to było natenczas, gdyby się był w ówczas nie w Adeli lecz w Hani zakochał, a w skutek takich porównań tylko rósł coraz bardziej w poszanowaniu dla tej ostatniej i śród gęstych z nią rozmów, poczynał już chwilami dość żywe dla niej objawiać uczucia.

Przy tych rozmowach atoli, jakkolwiek wszystkie przebiegano przedmioty, i wszystkie dawnych czasów wspomnienia, nie poświęcono jeszcze ani razu dłuższej chwili pamięci Edmunda. Kilka razy już Kamil wymówił był jego nazwisko, kilka razy także i Hania wspomniała o nim, że mieszka obecnie we Lwowie, że nieszczęśliwy, że był u nich, i zawsze jeszcze od czasu do czasu wbiega rankiem to na ganek, to do ogródka na pogadankę, ale jakoś zawsze ktoś o czem innem zagadał i o Edmundzie zapomniano. Aż dnia jednego Hania sama zaczęła mówić o nim, opowiadając Kamilowi niektóre szczegóły z jego życia, litując się nad tą żoną nieszczęsną, któ ra porzucona przez niego, wpadła w taki labirynt błędów i występków, że złą sławą swoją cały kraj napełniła. Kamil słuchał tego wszystkiego w milczeniu, i bardzo był smutny: lecz kiedy Hania skończyła, ocucił się z zamyślenia i sam zaczął mówić o dawnym swoim przyjacielu.

Mówił więc najpierw, że z nikim w życiu tak bliskie nie wiązały go stosunki, jak z wnukiem starościny nieboszczki, że chociaż dzieliły ich zawsze opinije, jednak sympatyzowały ich serca, że mu bardzo są miłe wszystkie o nim wspomnienia, że radby go widział i że sam nie wie dla czego nie odszukał go jeszcze dotychczas, będąc z nim między murami jednego miasta?

— Nie potrzebujesz go pan odszukiwać, zauważała na to Hania, on mieszka stąd o parę kroków w swoim dawnym pałacu.

— Tu mieszka !? zawołał Kamil.

— Tutaj, odpowiedziała Hania i patrząc w twarz jego spytała: Czy pan będziesz u niego?

— Będę najniezawodniej.

— Bo-byście już mogli dać pokój tym wszystkim opiniom, mówiła na to Hania, zwłaszcza teraz, gdyście się przekonali, że to ustawiczne ścieranie się z sobą, ta tak okrzyczana walka dwóch sił sobie przeciwnych, zamiast was podnieść, uszlachetnić, ulepszyć, wzmocnić, sprowadziła tylko wielkie zgorszenie, niepoliczone nieszczęścia, rozdarcie serc i umysłu w obudwu obozach a w ogóle wielką bezwładność i zniechęcenie. Taki to koniec biorą na tym świecie wszystkie ludzkie opinije, które są poczęte bez Boga, bo w nich nie masz miłości ni prawdy, nie masz prawdziwego poświęcenia się, a pod wrzaskliwym sztandarem pospolitego dobra, kryje się tylko próżność i pycha, zamaskowane sobkowstwo albo brzydki koteryjny interes. I cóż stąd za skutki? Którzy walczyli fałszem, oszukani są, walczyli nienawiścią, i znienawidzeni są, zamierzyli zniecestwić rzecz daną i świętą, i sami popadli w niecestwo... Nie było korzyści z tej walki, niech-że z niej będzie przynajmniej na przyszłość nauka... a na tem strasznem pobojowisku, niech-że teraz przynajmniej zasiędzie miłość.....

— I kiedy nie mogła żywe, zawołał na to Kamil, niechaj przynajmniej trupie serca powiąże ze sobą!

— Ach! krzyknęła z gorzkim wyrazem na twarzy Hania, pan jesteś człowiek okropny!

— Okropny! to prawda, odpowiedział Kamil i dodał z uśmiechem, ale ja pomimo to jeszcze dziś pójdę do Edmunda, a jutro obaczysz pani prześliczny obrazek: dwa gołąbki u góry, a na dole dwa serca, powiązane ze sobą płomieniem, raczysz pani wszakże wybaczyć, jeżeli gołąbki będą trochę do sępów podobne, a zamiast serc się pokażą dwie gnijące wątroby.

Na takie, prawdziwie wątrobiane bluźnierstwo, Hania jeszcze się nieprzyjemniej jak przedtem skrzywiła, a w tem drzwi się otworzyły z łoskotem, i wszedł Edmund do izby.

Obaczywszy swego dawnego kolegę Kamil, rzucił się czy-to z prawdziwym, czy z udanym zapałem ku niemu, wołając:

— Jak się masz kochany Edmundzie!

Ale Edmund zastanowił się przy drzwiach — a poznawszy Kamila, głowę podniósł dumnie do góry i z pełnem znaczenia milczeniem wyciągnął dłoń prawą przed siebie, zasłaniając się nią jak tarczą przeciwko niemu.

Widząc to Kamil, stanął na miejscu jak wryty. Inni wszyscy osłupieli. A śród takiej grobowej ciszy, Edmnnd z dłonią wyciągniętą, wycofał się krokiem powolnym z pokoju.

(C. d. n.)

ZA UBOGICH.*)

Z francuskiego.

Qui donne au pauvre, prête à Dieu. (V. H.)

Wśród uczt waszych, i zabaw szczęśliwi tej ziemi!
Gdy wir balu ogniami zaleje was swemi,
Kiedy wzrok wam się w jasnych tylko toczy k ołach,
Po krzystałach promiennych, w zwierciadłach odbity,
Gdy wam świece jarzące ogwieżdżą sufity,
I tańczą wasi goście z radością na czołach;

---

*) Już to podobnege wierszu do naszych towarzystw wystosowywać nie potrzeba. Osobliwie tego roku powiedzieć można iż świat piękny przez karnawał prawie cały tańczył jedynie dla ubogich, a kasy dobroczynności zasiliły się tak znacznie, jak przedtem podobno nigdy.

Gdy złoty młot zegara w waszych domach zmienia
Poważne godzin bicie, na radośne pienia,
Och! myślcie też czasem że w szacie żebraczej,
Nędzarz głodem trawiony, na ulicy krańcu
Zatrzyma się, i zajrzy wam w okna, i w tańcu
Waszych cieni świetlanych zarysy obaczy?

Myślicież, że pod śniegiem, trzęsący się chłodem
Jest ojciec bez zarobku oblężony głodem?
Co z cicha szepcze, waszym dziwiąc się dostatkom:
„Dla przyjaciół, biesiady tu weselem tchnące!
„Och! ten człowiek szczęśliwy! ma dzieci śmiejące!
„Za ich same zabawki, co chleba mym dziatkom!“

A potem równa w duszy waszych uczt przepychy
Do ogniska bez ognia swej izdebki lichej,
Gdzie go dziatki o jadło nie przestają prosić,
Gdzie matka jego dzieci w podartej odzieży,
Gdzie babka wyciągnięta na słomiance leży,
Mrozem zimy do grobu już ostygła dosyć.

Bo Bóg tak postopniował ziemskie ludzi dole,
Że niejednych ciężarem gniotą troski, bole,
Do uczt szczęścia nie liczni sproszeni są goście,
Nie wszyscy równe miejsca zajęli u stołu,
. . . .
. . . .

Ta myśl nieubłagalna, sroga, gorżka, ciemna,
Kipi w sercu nędzarza milcząca, tajemna,
Ach ludzie! których rozkosz przesyca obfitość,
Niech to nie będzie nędzarz co jęcząc w rozpaczy
Na wasze skarby rzuca wzrok dziki, żebraczy,
Niech raczej ranę jego zgoi wasza litość!

Litość czuła, gorąca, co jest biednych bóstwem,
Matka losu pasierbów, gnębionych ubóstwem,
Co tuli tych, co jęcząc u nóg wam się roją,
Która wszystko poświęci, a nawet w potrzebie
Jak jej wzór Bóg-męczennik, odda samą siebie
Mówiąc: „Jedzcie i pijcie ciało i krew moją!

O niech to będzie ona, która te wisiorki,
Perły, wstążki, koronki, brylanty, paciorki,
Te klejnoty, co zawsze fałszywe i próżne,
Aby biednych nakarmić, wam dla dusz zbawienia,
Wydrze z rąk waszych dzieci, z waszych żon odzienia,
I pełnemi garściami rozda na jałmużnę.

Dawajcie! bo jałmużna to modlitwy siostra,
Ach ludzie! gdy wśród zimy co mroźna i ostra,
Starzec klęka na próżno u waszego proga,
Gdy u stóp wam, rączkami co od zimna sine,
Jego dzieci zbierają biesiad okruszynę,
Oh! to wtedy się od was odwraca twarz Boga.

Dawajcie! aby pan Bóg ze swej szczodrej ręki,
Dał siłę waszym synom, waszym córkom wdzięki,
By winnice wam słodkie nosiły owoce.
Byście zawsze stodoły pełne zboża mieli,
Abyście byli lepsi, aby wam anieli
Snując się po snach waszych, rozjaśniali noce.

Dawajcie! bo gdy ziemskie rzucicie tułactwo,
Te jałmużny wam w niebie staną za bogactwo,
Dawajcie! aby o was mówiono miłośnie:
„On miał litość nad nami!“; aby nędzarz blady,
Wśród burzy obok waszej trzęsąc się biesiady,
Na próg waszych przybytków patrzał mniej zazdrośnie.

Dawajcie! Ażeby was Chrystus umiłował,
Ażeby wasze imie nawet zły szanował,
Dawajcie! aby wszystko w domu wam się wiodło,
Ażeby Bóg wam zgodą błogosławił bratnią,
By przeciw waszym grzechom w godzinę ostatnią,
Was żebrak w niebie możny, swoją wspierał modłą.

A...

Ustęp z Pamiętników Ułana.

Z części drugiej.

(Ciąg dalszy)

Był wtedy jeszcze w szwadronie naszym kadetem mój wielki przyjaciel, a rówieśnik co do służby, Jan Morsztyn, później oficer także. A był on siły niezmiernej, dobry jeździec i tęgi co się zowie ułan. Kiedy nas tak zrazu obskoczono do koła, że to aż zawrzało i zagotowało się jak groch w garnku, on pierwszego, co do niego pędził ułana rossyjskiego jak pchnął lancą w piersi, tak i grot z chorągiewką przeszedł na wylot plecami, a nie mając już czasu lancy na powrót wyciągnąć, gdy ułan z konia spadł, więc i lancę mu także sobą z rąk wyrwał. Chcąc się tedy czemś bronić, jął się do pałasza, ale pałasz zdawna nie dobywany tak zardzewiał w pochwie, że ani go rusz dobyć. Wprawdzie wisiały mu pistolety na smyczy, ale wystrzelone, czy nienabite, a tu bitwa gorąca wre do koła, a on z gołemi rękami biegnie i woła: Lancy lub pałasza, dajcie kto w Boga wierzy, bo mnie zakolą!. Jakoś tłum rozdzielił nas w tej chwili z sobą, i byłem pewny, że mój Jaś zginął; gdy po skończonej sprawie ujrzałem go, lekko wprawdzie był ranny, ale z resztą cały jeszcze, i z pałaszem tęgo okrwawionym w ręku, oprócz tego co miał u boku, zapytany, jak sobie poradził? opowiedział nam, że z rozpaczy, nie wiedząc już co począć, jakiemuś moskiewskiemu ułanowi, co go mijał pędzony od 2ch naszych, niespodzianie w przelocie wyrwał z pochwy pałasz, i nim później zabijał, i bronił się na przemiany.

A i ja tam przy innych o włos tylko com głową nie nałożył, i cudem tylko jakimś, z honorem choć nie cało wyszedłem z fatalnej przygody, a było to tak:

Gdy po pierwszym, serdecznym uścisku puściliśmy się i wolniejszy jakoś do koła rum sobie zrobiliśmy, na rękę tylko pojedynkiem, to się ścinając, to się kołąc, to strzelając, jak kto umiał, mógł i miał ku temu zręczność, wtedy ja się zwracam z koniem, to w tę, to w ową stronę, do koła opędzając się szablą, bo do koła, dopiero z tąd, jużcić z owąd nowy napastnik w oczy ci zaglądał, błysnął pod nos żelazem, i poszedł dalej. Pojrzę na raz, a tu z pod opadającego ku ziemi tumanu, sadzi na mnie pochylony na koniu, siary, wąsaty, o kilku na rękawie szewronach ułan,

i puszcza mi w prost piersi lancę. Sparowałem pchnięcie z góry na dół, i grot lekko tylko zranił mi lewą rękę trzymającą cugle, on zaś zwrócił konia na lewo w tył, i lekkim galopkiem zniknął mi z oczu, a ja kontent, żem się małym kosztem zbył napastnika, gdy chcę biedz w pomóc jednemu z naszych, co go w pobliżu mnie 2ch moskali obracało, tenże zaś bronił im się zacięcie, na raz zabiega mi na przełaj znowu ten sam stary drogę i krzycząc: *Nie ujdziosz Gaficer, nieujdziosz!* w największym pędzie rzuca się na mnie i znów puszcza mi lancę w piersi. Ja szczęściem nie tracąc przytomności, znowu paruję z góry, ale tą razą lancy nie wstrzymałem w biegu, odwróciłem tylko jej kierunek, bo miasto piersi utkwiła mi w brzuchu, i gdyby nie pendent, na którym nieco z impetu straciła, byłby mnie na wskroś przebił. Wtedy podsunąłem się z koniem pod niego, podrzuciłem silnem odbiciem lancę w górę, i wraz na odlew tak dobrze zamalowałem napastnika po skroni i twarzy, że mu najprzód czapka, bo mu łuszczki przeciąłem spadła, a potem sam zachwiał się i runął na ziemię z konia. W tej samej chwili uczułem jakieś silne niby kijem uderzenie przez łytkę prawą. Mniemałem z razu, że mnie ktoś drążkiem od lancy ugodził, ale wnet jakieś uczucie niemiłego ciepła w obuwiu, z początku zwróciło tylko moją uwagę, później jednak mdlić mnie poczęło, pojrzę po sobie, krew, cały czaprak z przodu czerwony, pojrzę po nodze, przez rajtuzy bryzga takoż krew, i obok jednego, drugi szeroki lampas sobie rysuje. Źle! pomyślałem sobie, w w piersiach coraz mi cieśniej i przed oczami niby iskry, niby jakieś płaty czarne majaczą, więc aby nie zlecieć nagle z konia, ująłem się grzywy mego bieguna i zawróciłem w tył, gdziem zastał ambulanse już napełnione rannymi, a oprócz tych na ziemi porozciąganych doktorowie i felczery interymalnie opatrywali innych wielu, lub ryczałtowo nogi i ręce obcinali. Na ten dopiero widok osłabłem tak, że mnie z konia zdjęto. Po bolesnem wysondowaniu tych 3ch ran, które od początku kampanii po raz pierwszy i to w jednej chwili miałem honor otrzymać, z flegmą nasz pułkowy podlekarz Steinig zadecydował, że rana w ręce tyle znaczy co nic, za parę dni się zagoi, w brzuchu, że szczęściem błona nie przebita, więc dziś nie jest śmiertelną jeszcze; wszakże nie ręczy, czy wśród jazdy na wozie lub w ambulansie gdy z porządku przyjdzie zapalenie, nie przejdzie także w gangrenę; łytka że przestrzelona z pistoletu na wylot i kulka się nie została, więc rana także nie zagraża niebezpieczeństwem utraty nogi, chyba, gdyby krew lub humory we mnie były złe. Tak mnie pocieszywszy, opatrzywszy i obandażowawszy, że w ambulansie miejsca nie było, już więc na wozy, co z pod furażów pozostały w obozie, pokładli nas, po 3ch na każdy i odwiezli w tył po za linią boju do dalszego rozkazu.

Tam ujrzałem jednego z podoficerów naszych, Żłodowskiego zda mi się, bez nogi już. Ów gdy już zrana stanęliśmy w assekuracyi, w samym prawie początku dostał strzał od kuli 6cio funtowej, która mu nogę poniżej kolana tak urwała, że tylko na skórce się trzymała. Gdy to ujrzał, cofnął konia w tył, i z najzimniejszą krwią, z uśmiechem nawet rzekł: *Bywajcie zdrowi koledzy! ja już podobno na nic wam się tu nie zdam*; a przyłożywszy pozostałą lewą łytkę koniowi, małym z prawej nogi galopkiem odjechał sobie do ambulansow, gdzie nogę mu zaraz odjęto. Gdyśmy do Prus weszli, on już na szczudle chodził zdrów całkiem.

Około godziny 5tej wieczorem nasi na całej linii cofać się poczęli, nieprzyjaciel nacierał zewsząd, pułk nasz byłby się trzymał jeszcze, mimo tak przeważnych sił, gdyby nie porucznik Przyłuski, brat owego dzielnego Augusta co zginął pod Liwem, który krzyknął na raz: Uciekaj kto może, bo nas oskrzydlają! W tedy popłoch stał się nie do opisania, każdy juz nie myśląc tylko o własnem ocaleniu, głuchy na wszelkie prożby i zaklinania, jak szedł z razu śmiało i natarczywie, tak teraz bez rozwagi, z paniczną trwogą wszystko po drodze roztrącał, obalał, i w szalonym biegu deptał, nie broniąc się już nawet otaczającemu go coraz cieśniej nieprzyjacielowi, i zapewne z rozgromu tego ani jeden człowiek nie byłby wyszedł, gdyby był nasz pułk 7my piechoty liniowej nie nadbiegł był nagle, i nie sformował kary, i naszych zasłaniając dobrze wymierzonym ogniem; owej massy jazdy nacierającej nie powstrzymał. Pod tą więc zasłoną cofnął się pułk nasz aż po za rezerwy, które, a mianowicie ow 6 pułk strzelców konnych przez cały ciąg bitwy ani razu na plac boju nie wystąpił, lecz spokojnie się na naszą porażkę patrzył, tłomacząc się tem, że nie miał rozkazu. Tu obliczywszy się, brakło nam 120 ludzi, w pułku zaś każden niemal mniej więcej był rannym. Jeden młody podoficer z akademików warszawskich, otrzymał aż 19 pchnięć lancą najwięcej w twarz, a przecież wygoił się szczęśliwie.

(D. c. n.)

Jeszcze jeden list w sprawie towarzyst. gospodarskiego.

Nie mam zaszczytu być członkiem c. k. towarzystwa gospodarskiego lwowskiego — trzymam Nowiny — a w tych wyczytałem z artykułu: Listy gospodarza wiejskiego, że większa część członków rzeczonego towarzystwa jest bez honoru, że kraj cały jest w grzechu, i że na nas wszystkich ciąży wina nędzoty towarzystwa i t.d. Czekałem cierpliwie czy też kto tej rzuconej rękawicy nie podniesie, ale kiedy dotąd nikogo nie widzę, toć chyba mnie staremu po nią się nachylić.

Radbym przecie wiedział, w jakichto statutach szanowny korespondent △ wyczytał, że członkowie towarzystwa zobowiązują się pod słowem honoru, raty od nich należące wypłacać? W statutach bowiem drukowanych, które mam przed sobą, tego nieznachodzę. Jeżeli jest jakie nowe wydanie, wartoby go do publicznej podać wiadomości.

Radbym także wiedział, gdzie, kiedy i jak się odbywa ta ceremonia dawania słowa honoru? Szanowny korespondent △ co dziś tak pięknie Komitetowi kadzi, zapomniał że za taki sposób wyrażenia się, jakiego użył w swych listach, może być w położeniu, gdzie mu nie pomoże choćby nawet sam sobie zakadził.

Że Rozpraw nie kupują, że ich czytać nie chcą — a czyjaż to wina — Rozpraw? czy też Publiczności? Czy Publiczność dla Rozpraw? czy Rozprawy dla Publiczności? Jeżeli dla Publiczności to trzeba takie pisać, ażeby się Publiczności podobały, aby ją zajęły, a nieżądać samogwałtu.

Przepraszam że w tem miejscu przytoczę wypadek, jaki mi się w podobnej okoliczności, jeszcze za moich lat dziecinnych wydarzył. Byłem w konwikcie, niechciałem jeść marchwi. Zapytany dla czego, odpowiedziałem że mnie marchew nudzi. Na drugi dzień znowu podano mi marchew, porcya była podwójna, ja znowu nie jadłem. Na trzeci dzień potrójono porcyę, kazano mi klęczeć, postawiono przedemną owe nieszczęsne trzy porcye marchwi, pan profesor stanął z jednej strony, pani profesorowa z drugiej, a pan dyrektor za mną wiązał ogromną rózgę. Wtedy to dopiero pan profesor wystąpił z morałami, z wymową i z krasomówstwem, jakiego by się nawet i szanowny korespondent △ nie powstydził, wyłożył wszystkie własności marchwi, jej części składowe, jej pożywność — a podzieliwszy swą oracyę na trzy części, zupełnie w guście szanownego korespondenta △. wyłożył w drugiej części, mnóstwo przykładów z historyj, zaręczał że Romulus, kiedy jeszcze ssał wilczycę, już o marchwi myślał, a jak się tylko zębów doczekał, marchew polubił namiętnie. Że Lukulus, Neron, lubili marchew, a nawet że Cycero, ten sławny orator, przed każdem wstąpieniem na mownicę, dla nabrania czystości głosu, marchewkę chrumkotał, wreszcie że po wszystkich konwiktach dają jak najwięcej marchwi, co i pani profesorowa potwierdziła. A na ostatek, w trzeciej części swojej prześlicznej mowy powiedział, że jeżeli zaraz nie zjem owych przedemną postawionych trzech porcyj marchwi, pan dyrektor zaaplikuje mi argumenta a posteriori. Cóż było robić, nudna była marchew, nudniejszy profesor, a i dyrektor nie miły. Rzewnemi zalałem się łzami, a wśród płaczu i łkania, zjadłem marchew do ostatniej szczątki. Chórowałem potem przez cztery tygodnie, i chociaż temu pięćdziesiąt lat dawno już minęło, od tego czasu marchwi już nie jadłem.

Z Rozprawami c. k. towarzystwa gospodarskiego podobnie się dzieje. Pierwszego tomu zostało 382 exemplarzy, z czwartego 727, z ósmego 831, a z dwunastego 928. To jednak nie przeszkadza do wydawania dalszych Rozpraw, i choćby nawet przyszło do tego, że zupełnie nierozkupione zostaną, to je będą odczytywać: Komitet, Sekretarz, i członkowie kancelaryi, (którejto przyjemności niezazdroszczę) a Rozprawy w coraz większej objętości ciągle wydawane będą, na pociechę i pożytek szanownego korespondenta △. Radzę zawczasu zawezwać lekarza, bo z takiej lektury łatwo strizmy dostać można.

Członkowie rat niepłacą, a podług statutów, towarzystwo niema prawa exekwowania, ale po trzykrotnem przypomnieniu ma prawo wymazać z kontroli członka niepłacącego. Ale jakżeż wymazać, kiedy każdemu członkowi „**wolno pawiemi piórami pokrywać szarą stronę życia**? Wprawdzie i paw niemi swoją szarą stronę pokrywa, ale to by nieprzeszkadzało trzymać się statutów. Ba jakżeż się trzymać statutów, kiedy w końcu przyjść może do tego, że wszyscy sie wymażą i niezostanie tylko Komitet, Sekretarz, członkowie kancelaryi i szanowny korespondent △. A to są właśnie ci, co utrzymują wszystko, ci jedni co mają racyą, bo ta większość co niechce Rozpraw czytać, co rat niepłaci, co to robi jakieś niby demonstracye, ta niema racyj. Szanowny korespondent △ ślicznie argumentuje, ja odgaduję myśl jego. Podług niego, mniej jest ludzi uczonych jak nieuczonych, mniej doskonałych jak niedoskonałych, z tego wychodząc, jest całkiem oczywiste i jasne jak na dłoni, że nie za większością, ale za mniejszością iść należy; szkoda, zaprawdę szkoda, że Lord Aberdeen o tem nie wiedział.

Szanowny korespondent △ ma słuszność. Bo to ta szlachta na wsi, to ciemna jak tabaka w rogu. Każden z nich by chciał, ażeby szkoła gospodarska nauczyła go jak się dorobić majątku, chciałaby może żeby im opisywać Galicją, aby Sanoczanin wiedział jak bieda ciśnie Podolaka, a Podolak aby poznał rozkosze Sanoczanina. I do czegóż to? Po co wyjawiać, po co się wywnętrzać publicznie, raczej chodzić bez koszuli, byle był ładny surducik, i kukierek w oku, wszak to z zagranicy. Niech się szlachta nie leni, niech nie żałuje tych kilkunastu guldenów, niech czytają Rozprawy, będą przecież mieli wyobrażenie o Belgii, Anglii, Francyi i Niemczech. Tam brać wzory, tam wszystko racyonalnie prowadzone, a do naszego kraju to tak jakby przymalował.

Niezrażaj się szanowny korespondencie △, do szlachty trzeba ostro, niemożna prośbą, to groźbą, znieważać publicznie, wszelkie poruszyć sprężyny, drażliwe i drażniące, kobiety, tak jest kobiety, młode, starsze, choćby najstarsze; a już jak im baby rady nie dadzą, to ich wtedy daguerotypować, litografować, z gipsu, stearynu, spiżu, miedzi, cyny lub mosiądzu wylewać, i na publiczną sprzedaż wystawić.

Masz racyę, kraj, co jak sam wyrachowałeś, ma tyle ludności, tyle mil kwadratowych, tyle morgów roli, łąk, pastwisk i lasów, a do tego Gazetę Lwowską i Izbę handlową, taki kraj po tak grzecznem wyłożeniu sprawy, po tak uprzejmem wezwaniu i tak uroczo przedstawionej przyszłości, jak to byłeś łaskaw w swojej szanownej korespondencyi uczynić, kraj taki powinien się cisnąć z ofiarami, sypać gotowizną, a niemogący się przepchać przez tłumy, oknem do Komitetu, paczki z banknotami, obligacyami, i t. d. rzucać by powinni.

Ale co ty chcesz z tą szlachtą wiejską! Kiedy oni dowiedziawszy się naprzykład na zgromadzeniu towarzystwa, że pszczoła matka, nie jest matką ale ojcem, nietylko że adresu dziękczynnego w imieniu wszystkich samców, komu należało za to nie podali, ale śmieli nawet o tem powątpiewać.

Dla tego masz racyę szanowny korespondencie △, z szlachtą ostro, nawet gburowato, a choćby po grubijańsku, c' est plus piquant. Bo i jakże chcesz inaczej, kiedy naprzykład temu się dziwują, że towarzystwo mieszkając w gmachu biblioteki narodowej imienia Ossolińskich, osobną bibliotekę skupuje. Ciemni!... Niewiedzą że własne głupstwo stokroć jest milsze niż cudza genialność!...

I z taką szlachtą grzecznie? Masz racyą szanowny korespondencie △, grubijańsko, obelżywie, choćby i skłamać, mniejsza o środki, byle cel był osiągnięty.

Ach! bo też te Dublany! Dublany! to owoc co wszystkie smaki w sobie mieści, bo to i błota. i trzęsawiska, i grunta iłowate, i pozycyja na północ, i stawy zaniedbane, a co najbardziej że niema żadnych budynków — tam nic symetryi nie psuje — można ślicznie planik ułożyć, budyneczki poczęści z cegły, po części z gliny postawić, a pózniej, jak już będzie do Lwowa kolej żelazna, to można będzie parę żelaznych z Anglii sprowadzić — to będzie pożyteczne i przyjemne, i zachęci drugich. W Dublanach, tam dopiero można dokazywać cudów! Łąki osuszymy — namówimy wysoki Rząd, ażeby wszystkie te błota przerznął jednym kanałem, a ten kanał połączył z Pełtwą, choćby nie pod sam hotel Hofmana — bo tam zasklepiona, ale pod Lwów; a wtedy możnaby wszystko drzewo budulcowe i sągowe, z lasów radziechowskich, z Buska, Toporowa, i całego Żółkiewskiego i Złoczowskiego obwodu, tym kanałem do Lwowa sprowadzać. Jaka dogodność dla stolicy, jaka dla handlu! a co za korzyść dla nauki, dla potomności, dla kraju!

A łąki? W przypadku gdyby brzegi były za niskie, to podnie-

siemy łąkę, zawieziemy ziemią, albo co lepiej piaskiem i śmieciem ze Lwowa, wszak Lwów niedaleko. A dopiero chów bydła! szwajcarski, tyrolski, holenderski, angielski. A sery? O roskoszy!

W stawkach dzisiaj zaniedbanych, sztuczne zarybienie, prowadzone racionalnie, przewyższy naturę. Na rolach oczywiście uprawa rzędowa, wszystko narzedziami oryginalnemi. Turnipsy, Marzanny, Rezedy farbiarskiej, tego jak najwięcej, bo to dla nauki. Fabryka narzędzi rolniczych, fabryka modelów, o to, to osobliwie, bo to i bawi, i naucza, i zgrabne i ładne.

A tym czasem we Lwowie, budynek ładny się kupi, aby wnim było miejsce i na bibliotekę i na skład modeli, i sala radna dla towarzystwa i archiwum na rosprawy i na akta. O! bo tego nazbiera się dosyć. Przytem biórko dla sekretarza, kancelaryja, parę pokoi do konwersacyj dla przybywających, a obok marmurowa sala, a w niej twój posąg szanowny korespondencie △ O ho! ho! nie wymawiaj się skromnisiu! Jeżeli komu to tobie szanowny korespondencie posąg się należy. Ty potrafiłeś tą tobie tylko właściwą delikatnością, jędrnością wykładu, i tą wymową pełną uczucia, poruszyć wszystkie fibry życia. To też potomność podziwiać będzie w tobie korespondenta z XIX. wieku, i słusznie, bo twojem jest to słowo daj, wyrzeczone w tonie jakiegośmy dotąd nie słyszeli.

Rozmaitość.

Z Krakowa (Dokończenie).

Przy tak skromnym karnawale, teatr polski dość prosperuje. Sztuki: Wielka Inkwizycya, Napoleon w Hiszpanii, Łobzowianie, Rodzina Żurawieckich, Dzwonek Szatański, Comber babski, Filozof z potrzeby, uformowały siedem widowisk przy pełnym teatrze. Sztuki zaś: Okrężne, Bilecik miłosny, Kapitan Zosia, Stara elegantka, Dwaj mężowie, Żydzi, Karpaccy górale, Damy i Huzary, Chłopi arystokraci, stanowiły siedm widowisk tegorocznych, odegranych przy zapełnionych lożach, ale przy puściuteńkich innych miejscach. Nowe sztuki: Listopad przez Kamińskiego, Oświęcimowie przez Antoniewicza, Adrienna Lecouvreur, Wyżynek w Krakowskiem, Honor i Pieniądze, mają być grane niezadługo. Przedsiębiorca drugiego teatru radzi sobie jak może, aby mógł utrzymać się nadal. Sprowadzenie tenorzysty Rogera niedopomogło finansom, bo ten za trzy widowiska wziął 1500 złr. a z tych widowisk nie wiele zysku dostało się przedsiębiorcy. Niesłychanie wygórowane ceny miejsc (bo potrojone) odstręczyły i największych amatorów. Przedsiębiorca w szumnym anonsie zaczyna najprzód od pochwał, ile on to *własnemi* siłami to jest: nie wsparty przez publikę, dokazał u nas. Dowodzi, że postawił teatr na stopie na jakiej nigdy jeszcze scena nie stała w Krakowie. — Kłamstwo to powtórzył za jakimś artykułem umieszczonym w Wandererze. Scena dzisiejsza nie jest ani cieniem owej świetności, z jaką błyszczała scena za Meciszewskiego, a nawet za Mączeńskiego do połowy roku 1847. Samochwalstwo może sobie niewiedzieć co przypisywać, ale dowiedzie tylko próżności, niczego więcej, a nie zakryje swej miernoty. W tymże anonsie wyczytujemy historye *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, a między innemi, że Roger, książę śpiewaków *nie pogardzi* Krakowem i zjedzie tu, by się dać słyszeć. Najprzód co do książęstwa, takowe już od lat niemal dziesięciu odjęli Rogerowi nowi i lepsi śpiewacy jak: Fraschini, Mario, Stäger i t. d. Co do pogardy, nikt nie gardzi ofiarą luidorów, z jakiegobądźby one miasta pochodziły. Szczyci się przedsiębiorca, iż tyle dokazał, że już takie znamienitości nie wachają się tu przyjeżdzać. A toż od tylu lat, widywaliśmy i słuchaliśmy większe znamienitości, jak: Liszt, Lipiński, Kątscy, Ernst, Piatti, Panna Katalani, George i t. d. zjeżdżały one bez wachania, i nie wymagały od ówczesnych przedsiębiorców ani ostentacyi afiszowych, ani innych podobnych prowincyonalnych figlów.

Cyrk olimpijski jeszcze do dnia 20. stycznia wlókł suchotniczy żywot. Teraz ustał, bo wierzyciele zabrali Bellingowi wszystko, nawet garderobę. Główny wierzyciel postanowił przez pełnomocnika swego wziąć cyrk w administracyą i zreorganizować go. Otworzył go jednem widowiskiem w lutym, na które nikt nie przyszedł. Nader zręczny jest jeździec Adolf Nief, i niemniej wprawni są Fedro Belling z żoną hiszpanką i córką. Było wielkim nierozsądkiem z strony tego, który namówił Bellinga do zjechania do Krakowa na mrozy najtęższe. Budynek choć opalony, nie ochroni od przemarznięcia. Widowisk nie wolno było dawać wieczorami, bo na godzinę przed reprezentacyą teatralną musiały być kończone, a któż po południu może mieć czas chodzić na igrzyska. Siedmioro osób z towarzystwa, żyją tu teraz o bożej łasce.

Galerya obrazów Dąbskich nie została dotąd otwartą, ale do wystawy, przybywają ciągle nowe dzieła, jeden tylko Lwów nie odpowiedział oczekiwaniom, bo artyści tamtejsi odsunęli się od współudziału w wystawie krakowskiej. Obecnie przybyły dwa pięknie wykończone popiersia księcia Sanguszki i p. Moszyńskiego, roboty Henryka Stattlera, krakowianina bawiącego w Rzymie. Portret malowany przez Kaplińskiego Leona z Paryża, ucznia Schäffera, dwa obrazy Suchodolskiego. Polowanie za sokołami i Czarniecki wyjeżdżający konno z hufcem, obadwa dzieła nie osobliwej wartości, nadto Milewskiego: św. Antoni, obraz robiony na effekt z rzuceniem światła w guście Magdaleny Mäesa, wreszcie kilka szkic wcale miernych Gierdziejewskiego z Poznania.

Że jeszcze więcej ma przybyć nowych obrazów, przeto odwleczono wystawę do końca marca. Tymczasem zajęto się kopijowaniem obrazu Suchodolskiego: Oblężenie Częstochowy, który ma być jako premium rozdany po odlitografowaniu go w Wiedniu lub Berlinie, i zajęto się rozpoznaniem, które obrazy przez towarzystwo mogą być zakupione.
Pl. Stef.

* **O drugim balu Namiestnikowskim** podaje wczorajsza Gazeta lwowska następujące szczegóły: Dzień 17. lutego przydał znowu piękną kartę w rocznikach karnawału tutejszego. Ich Excellencye JWW. Namiestnikowstwo zaszczycili zaprosinami na bal około 450 osób, dostojników koronnych, szlachty, wyższych urzędników, jeneralicyi, duchowieństwa i obywatelstwa lwowskiego.

Poprzedzający czwartkowy wieczór tak zwanej recepcyi był niejako wstępem do najświetniejszego balu, i jawnym tylokrotnie powtarzającym się wyrazem czci dla Jego Excell. JW. Namiestnika. Znane obszerne sale zaledwie mogły pomieścić wszystkich, którzy tam w jednym stawili się zamiarze, okazania uczuciów swoich. I tym także razem ucieszeni zostali JWW. Namiestnikowstwo łaską Jego Cesarzewiczowskiej Mości Arcyksięcia Karola Ludwika, który o zwyczajnej godzinie recepcyi wśród zgromadzonego towarzystwa ukazać się raczył, by dostojnemu Naczelnikowi kraju objawić ujmującą Swą przychylność, i oraz zaszczycić wszystkich tam znajdujących się. Gdy zebranych przyjmowano herbatą, cukrami, chłodnikami i t. p. Jego Cesarzew. Mość pozwolił do stołu, u którego raczył przyjąć miejsce, przyzwać JO. Eleonorę ks. Jabłonowską, JWW. hr. Badeniowę i Sewerynową hr. Duninową Borkowską, tudzież JExcell. JW. jenerała hr. Schlika, JW. jenerała barona Henigstein i JW. Kazimierza hr. Krasickiego. Ożywiona przyjemna konwersacya w mnogich kołach trwała parę godzin, gdy Sam nawet Najj. Arcyksiążę późno dopiero pożegnał JWW. Gospodarstwo.

Jeżeli ów wieczór był nader świetnym, cóż powiedzieć o balu danym dnia 17? Sala wielka i wszystkie oboczne komnaty tchnęły tem życiem uroczem, jakie wlać zdoła jedynie uprzejma gościnność z dobrym gustem złączona, o czem każdy uczestnik zabawy, ujęty urokiem wesołych chwil dziś w żadnej mierze zamilczeć nie może. Dziwne cię bowiem dzisiaj owładło uczucie! Chociaż znane ci przekroczyłeś progi, przyniosłszy przypomnienie swobodnie nawet nie-

dawno zpędzonego wieczora, choć znane serce Gospodarza znanym cię powitało głosem, choć oko twoje po większej części na znanych spoczęło licach; uroczystszą wszakże zda ci się obecna chwila. Może dla tego, że oczekiwany Gość Najdostojniejszy, który od roku na ziemi naszej zamieszkał, ująwszy wszelkiego mieszkańca dobrocią i przychylnością, w krótkim czasie, choć, jak się tego spodziewać śmiemy, nie na długo, opuścić przedsięwziął mury miasta tego. Żywy dowód i pewny zakład łaski Cesarskiej zadzierzgnął silniej węzeł poddańczej miłości między nami a Monarchą: wzór najwznioślejszych cnót Najjaś. Rodu Habsburgskiego przywiązał serca wszystkich do Siebie! Ztąd zaiste dzień dzisiejszy wybitniejszej nad inne cechy, bo prócz że jest sposobnością do oznaki poważania c. k. Namiestnika, jest nią oraz do pożegnania wielbionego Cesarzewicza.

(Dok. nast.)

* **Od wydawcy.** Cały nakład Nowin od 1. stycznia 1855 r. już jest zupełnie wyczerpany. Dopiero od 1. lutego zaczęto więcej odbijać egzemplarzy, przeto prenumerata na Nowiny przyjmuje się odtąd jedynie od 1. lutego 1855.

Przyjechali od dnia 19. do 20. Lutego do Lwowa.

PP. Grochowski Feliks, z Lubienia. Wisłocki Tomasz, z Grabówki. Rylski Henryk, z Dłużniowa. Borowski Ludwik, z Krowicy hołodowskiej. Stojanowicz Feliks, z Mokrzan wielkich.

PP. Poten Fryderyk, z Łahodowa. Sokołowski Faust, z Ulicka, Biliński Feliks, z Olszanki. Dzieduszycki Juliusz, hr. ze Sambora. Gottlieb Antoni, z Liwcza. Humnicki Jan, hr. z Rozpucia. Cicharzewski Kazimierz, z Wankowic. Strzelecki Eugieniusz, z Wyrowa. Baliński Józef, z Krynicy. Lanckoroński Stanisław, hr. z Komarna. Borkowski Aleksander, hr. z Winnik. Tworowski Karol, z Dąbrowicy.

Wyjechali dnia 19. do 20. Lutego ze Lwowa:

PP. Nahojowski Jan, do Stryja. Kieszkowski Józef, do Hrusiatycz. Hordyński Julian, do Tarnopola. Tucki Pauli, do Brzeżan.

PP. Jaworski Józef, do Kobylnicy. Osmulski Leon, do Kuliczkowa. Stankiewicz Stefan, do Podlisek. Wagner Marcin, do Rzeszowa. Madejski Maryan, do Romanowa. Błażowski Krzysztof, br. do Złoczowa.

Lwów 21. Lutego. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po — złr. — kr. do 35 złr. — kr. — Żyta po — złr. — kr. do 26 złr. — kr. Jeczmienia po 23 złr. — kr. do 29 złr. — kr Owsa po 17 złr. 25 kr. do 20 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. — kr.— Ziemniaków po 10 złr. —do 11 złr. 15 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 40 złr. 50 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 33 złr. w.w. Cetnar siana 4 złr. 32 kr. do 5 złr. 30 kr. Centnar słomy 3 złr. 40 kr. do 4 złr. 5 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 21. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	128 7/8	Pożyczka 5% 82 3/16 4 1/2	—
Hamburg za 100 tal. banco	94 3/4	Akcye banku	1005
Londyn za 1 funt szterl.,	12 29	Kolej północna	1890
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	72 3/4
Paryż za 300 franków .	150 1/2	Nowa pożyczka z loterya	107 3/4
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	85 11/16

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	55	złr.	6	kr.	—
Dukat cesarski	«	6	»	1	»	6	«	4
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	18	»	10	«	21
Rubel srebrny rosyjski	»	2	«	—	«	2	»	1
Talar pruski	»	1	«	56	»	1	«	58
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	26	»	1	«	27
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	96	«	10	»	96	«	45
Obligacye indemnizacyjne z kuponami.	»	76	»	55	»	77	»	10
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	«	23	..	75	,,	37

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**